

LUIZA DOBRZYŃSKA

POL TREK

NA DOBRE I NA JESZCZE GORSZE



Poltrek. Na dobre i na jeszcze gorsze ® Luiza Dobrzyńska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środowiskach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2024

ISBN: 978-83-68177-20-6

ISBN E-BOOK: 978-83-68177-21-3

Redakcja: E.Raj

Korekta: Kamila Galer-Kanik

Projekt graficzny okładki: E.Raj

Skład: Marcin Halski

WYDAWNICTWO HM...

E-mail: redakcja@wydawnictwohm.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9 42-580 Wojkowice

Wersja papierowa dostępna na:

WWW.WYDAWNICTWOHM.PL

POL TREK

NA DOBRE I NA JESZCZE GORSZE

LUIZA DOBRZYŃSKA

Wojkowie 2024

*Dziękuję tym, którzy zawsze we mnie wierzyli:
Katarzynie Zakrzewskiej Price
Alicie Belickiej
i Piotrowi Marczakowi
Bez Waszego wsparcia ta książka by nie powstała*

0-0 WSTĘP

Gdy USS Superprice, największa duma floty Unii Planet, przemierzał wszechświat w ileś-tam-letniej misji pod dowództwem nieustraszonego kapitana Kerka, na Zjednoczonej Ziemi miało miejsce niezwykle wydarzenie. Jedyne kraj, który wciąż powtarzał, że nie chce zostać zjednoczony i nie życzy sobie być w żadnej Unii – choć formalnie rzecz biorąc, niewiele miał w tej sprawie do powiedzenia – pokusił się o własny międzygwiazdny statek badawczy. Ponieważ z przyczyn finansowych wybudowanie całkiem nowego nie wchodziło w grę, państwo owo – Polska albo Tenkraj, jak notorycznie mówiły o nim pewne kręgi polityczne – na miarę możliwości budżetowych zakupiło różne części z demobilu. Nieco później rękami specjalistów złożyło z nich coś, co śmiertelnie przerażeni stoczniovcy unijni nazwali „koszmarem inżyniera”, wróżąc mu szybki i straszny koniec. Okazało się jednak, że nie docenili Polaków, którzy nie dość, że nie zlekli się wyzwania związanych z montowaniem niepasujących do siebie części, to później strachu też nie okazali. Ani za wiele rozsądku.

Składak otrzymał nazwę Hermasz. W zasadzie miał zostać ochrzczony jako Hermaszewski, ale wskutek zamieszania z ekipą odpowiedzialną za napis na module centralnym pojawiła się tylko połowa tego słynnego nazwiska. Niezrażeni tym Polacy

stwierdzili radośnie, że widocznie tak miało być, i mimo licznych trudności obiektywnych wysłali statek w pierwszą misję uzgodnioną z dowództwem Gwiazdowej Armady. Ponieważ wytypowany na to stanowisko w długim procesie rekrutacyjnym kapitan w zręczny sposób wykręcił się od objęcia swego stanowiska, generał Włodzimierz Jaruzelski (z tych Jaruzelskich) wyznaczył w zamian innego, Liliannę Zakrzewską z korpusu obrony przeciwlotniczej, wychodząc z założenia, że... jakoś to będzie. Ta sama nadzieja przyświecała też decydującym przy kompletowaniu załogi, składającej się w przytłaczającej większości z ochotników niemających wcześniej nic wspólnego z lotami kosmicznymi, o szkoleniu w Akademii nie wspominając.

Statek miał być isticie polski, stanowić flagowy produkt dumnego kraju i latający manifest jego niepodległości. Jednak, jak to zwykle bywa, nie wszystko poszło tak, jak zaplanowano. Przede wszystkim zszokowane dowództwo Gwiazdowej Armady na samą wizję eksploracji kosmosu przez bandę dyletantów narzuciło Polakom swego obserwatora, przedstawiciela Uoltan – najwyższej rozwiniętej rasy w Unii Planet. Tak naprawdę zwali się oni nieco inaczej, jednak ich rodzimego słowa na określenie ojczyzny nikt nie potrafił wymówić poza nimi samymi, wybrano więc taką, która najmniej fonetycznie odbiegała od oryginału. Poza tym niebieskoskórzy Pandorianie – wojownicza rasa kibicująca Polakom, których z racji ich ułańskiej fantazji uznawała za bratnie dusze – zrobili to samo. Obu rasom przyświecał podobny cel: w sytuacji podbramkowej poinformowani przez obserwatorów mogliby przysłać pomoc i byli też na taką ewentualność gotowi.

Na patriotycznym statku poza certyfikowanymi Polakami znaleźli się między innymi:

- *komandor ArCer, uoltański obserwator, sekcja naukowa, wszechstronnie wykształcony;

- *doktor TiShan, również Uoltanka, sekcja medyczna, przez większość życia mieszkająca w Polsce, gdzie ukończyła też Akademię Medyczną;

*Sytar, także Uoltanin, egzystujący wyłącznie w charakterze esencji umysłowej, mieszkającej niezbyt legalnie w mózgu zastępcy głównego inżyniera, Grzegorza Bręczyszczykiewicza, od czasu do czasu bardzo pomocny z racji swej wiedzy ogólnej;

*kadet T'enga, pandoriańska obserwatorka, przydzielona do sekcji łączności;

*Mattias von Braun, również Niemiec, cywilny konsultant, dyplomata, specjalista od stosunków międzyrasowych i kucharz w jednym;

*małżeństwo Azalia i Kolorado Kwiekowie, Cyganie, sekcja zaopatrzenia;

*Wasył Anegdotycz Zajczik, Rosjanin w stopniu porucznika, sekcja techniczna, zbrojmistrz;

*Saul Rozenfeld i Baruch Kinderman, z pochodzenia Izraelczycy z dodatkowym polskim obywatelstwem, szeregowi żołnierze sekcji ochrony;

*Misiak, mieszaniec owczarka podhalańskiego i bernardyna, wciągnięty na stan załogi jako „młodszy junga Michaił Kudłaczow”, sekcja ochrony;

*bliżej niezidentyfikowana liczba domowych pupili różnego gatunku, na czele z ukochaną fretką dowódcy statku, Gizią;

*nielegalni pasażerowie.

Lista załogi przedstawiała się zatem nader interesująco. Podobno kapitan Lilianna Zakrzewska w rozmowie z admirałem Cormackiem stwierdziła, że to jest jej najmniejszy problem. Znacznie większym było to, że oddana pod jej dowództwo załoga nie miała w większości doświadczenia, za to bardzo wysokie mniemanie o swoich kompetencjach. Niektórzy uważali nawet, że przewyższają ją wiedzą i mogą jej rozkazywać. Wydarzenia, które potem nastąpiły, zaprowadziły w końcu dowódcę Hermasza na ławę oskarżonych¹. Najwyższy Sąd Wojskowy Gwiazdowej Armady po długim procesie oczyścił ją z zarzutów, jednak

¹ O tym wszystkim można przeczytać w pierwszej części zatytułowanej *Pol Trek. W imieniu Rzeczypospolitej*.

została ona zobowiązana do odbycia razem z załogą regularnego szkolenia w Akademii Gwiazdowej Armady.

A każde szkolenie ma to do siebie, że kiedyś się kończy.



Dwóch wykładowców szło przez park otaczający od zachodniej strony Akademię Gwiazdowej Armady. Jeden z nich był starszym Uoltaninem o włosach przyprószonych siwizną i godnej postawie, drugi ruchliwym, okrągłym jak pączek w maśle Ziemianinem z pyzatymi policzkami i sporą łysiną. Obaj wciąż mieli na sobie galowe mundury – wracali z uroczystości zakończenia roku szkolnego.

– Młode kadry spisały się aż miło – mówił Ziemianin z entuzjazmem. – Jeszcze nigdy nie było tak wysokiej średniej, prawda, profesorze Skal?

– Ziemian łatwo uszczęśliwić – rzekł sucho Uoltanin. – Co prawda poziom nieco się podniósł, ale nadal pozostaje niezadowolający. Gdyby nie tak niepewne czasy, ja nigdy nie podpisałbym się pod ich dyplomami. Nie, panie Randall, zdecydowanie nie podzielam tego zachwytu.

– Wy, Uoltanie, jesteście takimi perfekcjonistami, że czasem ciężko się z wami porozumieć. – Randall roześmiał się i przystanął. – A co tam się dzieje?

Gdzieś z boku niósł się nie tyle śpiew, co ryk z kilkudziesięciu gardeł:

Obok orła znak Pogoni!

Poszli naaasi w bój bez broooni...!

– Ach, to polska załoga świętuje uzyskanie certyfikatów – powiedział Uoltanin z widoczną dezaprobatą. – Całe grono pedagogiczne tak bardzo chciało się ich pozbyć, że podpisałiby nie tylko certyfikaty, ale i zrzeczenie się praw do swojego majątku.

Zwłaszcza że Polacy mieli być w Akademii przez rok, a zajęło im to dwa lata... o dwa za długo.

– Niechże pan będzie sprawiedliwy, Skal. Oni naprawdę ciężko pracowali i nawet pod koniec nauki przestali imprezować.

– Ale nadal wypuszczali sztuczne karaluchy w jadalni albo posypywali ręczniki proszkiem na śwędzenie. Takie drobiazgi! – mruknął z przekąsem profesor.

– Drobiazgi, sam pan powiedział. W sumie przez ostatnie pół roku byli naprawdę grzeczni. Jak na nich to było wielkie poświęcenie.

Skal tylko lekko wzruszył ramionami. Miał swoje zdanie na temat polskiej załogi i zwykle wyrażał je bez ogródek, ale teraz, gdy odchodzili, to nie miało już znaczenia.

Obaj wykładowcy podeszli bliżej. Od strony akademika biegła właśnie lekkim truchtem młoda blondynka z długim warkoczem, ubrana w zmodyfikowany mundur Gwiazdowej Armady. Była to kapitan Zakrzewska, której nazwiska nikt poza Uoltanami i rzecz jasna Polakami nie umiał wymówić. Na jej widok śpiew absolwentów przerodził się w nieartykułowany wrzask.

– Ciszka, bando niedojdów! – zawołała kapitan, wskazując na odwróconą do góry dnem beczkę po piwie. – Co to ma znaczyć?!

– Nic takiego, kapitano!

– No to teraz uwaga! Nadszedł kres naszej niewoli! Odlatujemy za ostateczną granicę, tam, gdzie jeszcze nie udał się żaden człowiek i tak dalej! – Pokiwała głową znacząco. – Wyruszamy w kolejną misję, co się nam należy, że tak powiem, jak psu zupa. Wszyscy uczciwie przepracowaliśmy ten czas, a nawet ograniczyliśmy brykanie! Wyniki osiągnęliśmy znakomite! Dlatego Gwiazdowa Armada postanowiła nas zatrzymać na służbie. Wierzę, że jej się to opłaci, bo, jak przed chwilą słusznie śpiewaliście, historycznie rzecz biorąc, możemy iść w bój nawet bez broni!

– Tak jest! – odpowiedział jej zgodny krzyk.

– Pytam więc was, łobuzy nędzne, mizerne: dojrzeźliście?!

– Dojrzeźliśmy!

- Głośniej!
- Dojrzeliśmy!
- Nie słyszę!
- Doj-rze-li-śmy!!!!
- No to spadamy! Ustawić się czwórkami i za mną!

Kapitan zeskoczyła z beczki i ruszyła różnym krokiem w stronę lądowiska, a za nią czwórkową kolumną szła jej załoga, śpiewając tak, że słychać ich było chyba nawet na dalekich przedmieściach:

*Piąty raz dojrzały wiśnie i maliny
Czy też nas poznają panny i dziewczyny?
Bośmy poszli cicho, a wracamy głośno
Bo nam dziś u ramion karabiny rosną!!!*

- Co mają do tego wiśnie i maliny? – spytał Skal ze zdumieniem.

Randall rozłożył ręce.

- Pojęcia nie mam.

Stali chwilę w milczeniu, patrząc za oddalającymi się absolwentami.

- Czy słyszał pan, w jaki sposób kapitan Zakrzewska rozwiązała test polegający na ratowaniu statku Kabochai Mara?

- Złamała go?!

- Nie, gdzie tam. W dziejach Akademii dzięki małemu oszustwu udało się to tylko kadetowi Kerkowi. Ten test to przecież *no win scenario*. Wszelako rozwiązanie kapitan Zakrzewskiej było... pamiętne.

- Co zrobiła?

- Skierowała swój wirtualny statek kursem kolizyjnym na okręt dowodzenia clingorgiańskiej floty. Gdyby to nie był test, a rzeczywista sytuacja, zginęliby wszyscy, tyle że prawdopodobnie zabraliby ze sobą nie tylko clingorgiańskie dowództwo, ale i kilka najbliższych wrogich jednostek typu *warbird*. Fala

uderzeniowa dosięgłaby, według moich obliczeń, co najmniej czterech krążowników i częściowo sparaliżowałaby wszystkie pozostałe. Kabochai Mara, choć w tym teście uszkodzony, miałby szansę uciec.

– Pomysłowe. Dziwna kobieta. Wie pan, dokąd ich posyłają?

– Pytałem w dowództwie. Admirał Cormack odpowiedział mi: „Byle jak najdalej stąd”.

Skal lekko chrząknął, ale nie skomentował tej informacji. Nie widział takiej potrzeby.